

Felieton nr 162. Dziś obchodzę 50-lecie mojego debiutu w roli dziennikarza-publicyisty

[Fragment]

[...]

A było to tak: W okrętowej świetlicy, w której załoga (obowiązkowo) zasiadała o 19:30 aby obejrzeć Dziennik TV, ale gdzie później oglądało się filmy i ówczesne serie (w tym „Czterej pancerni i pies” i czwartkowe „Kobry”) otrzymałem do mojej wyłącznej dyspozycji szafę, w której przechowywałem książki tej bibliotecznej mini-wypożyczalni. Pomysł zrodził się z zapotrzebowania cywilnych pracowników gdyńskiego Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego, którzy wypływali na naszej łajbie 5 razy w roku w dwutygodniowe rejsy naukowo-badawcze po Bałtyku. To dla nich w pierwszym etapie mojej działalności przynosiłem w moim marynarskim worku książki z Biblioteki Garnizonowej Portu Wojennego Gdynia-Oksywie. Ale zaraz potem pomyślałem, że warto byłoby zachęcić do czytania książek moich kolegów, z których znacząca większość była tylko po szkole podstawowej. Moim „wynałazkiem” w popularyzacji książek było czytanie co ciekawszych ich fragmentów podczas cowieczornego obierania ziemniaków. Skutkiem tej metody była duża liczba wypożyczeń i potrzeba częstego wymieniania pozostającego do dyspozycji czytelników zestawu książek.

Dzięki temu, że byłem stałym bywalcem Biblioteki Garnizonowej zawarłem znajomość z jej kierowniczką. Owocem tych relacji najpierw była wizyta na okręcie reporterów [„Żołnierza Wolności”](#) – wydawanego w Warszawie dziennika „branżowego” LWP – którzy sfotografowali i opisali mój sposób na zachęcenie do czytelnictwa marynarzy służby zasadniczej. Ale stała się jeszcze rzecz druga: pewnego dnia, przeglądając zawartość bibliotecznych półek, zawarłem znajomość z pewnym komandorem (kmdr – odpowiednik pułkownika w „zielonym” wojsku). Zaczęło się od wymiany opinii o przeczytanych książkach... Okazał się, że ów komandor jest mężem kierowniczkii biblioteki, ale przede wszystkim wysoko postawionym oficerem w Dowództwie Marynarki Wojennej, a konkretnie w Zarządzie Politycznym MW. Miał on w swym zakresie obowiązków bliskie kontakty z wydawanym od 1956 roku [tygodnikiem „Bandera”](#). **I to on zasugerował mi, abym stał się korespondentem terenowym tego czasopisma.** Działo się to na przełomie lat 1966/1967. W efekcie tej inspiracji podesłałem tam kilka krótkich korespondencji, których treścią były nasze lokalne, okrętowe wydarzenia. **Jednak dopiero ten całostronicowy reportaż z naszego naukowo-badawczego rejsu,** napisany na zamówienie redakcji i skwitowany wcale nie takim małym honorarium, opublikowany 26 marca 1967 roku, **uważam za mój prawdziwy debiut publicystyczny.** Możecie się z nim zapoznać – w całości – poniżej, lub we

fragmentach, w pliku PDF – [TUTAJ](#)

Na zakończenie tych wspomnień dodam, że ta moja współpraca z redakcją „Bandery”, doprowadziła do tego, że **już wtedy, w roku 1967, mogłem zostać ZAWODOWYM DZIENNIKARZEM**. Po sukcesie tego reportażu zostałem zaproszony na rozmowę z ówczesnym redaktorem naczelnym „Bandery”. Nie pamiętam dziś jego nazwiska, ale był on w stopniu kmdr. por. (podpułkownika). Przyjął mnie w swym gabinecie w Sztapie MW przy Skwerze Kościuszki w Gdyni i – przy kawie – **zapropnował pracę w redakcji**. Nieomal „od zaraz” – na początek na zasadach tzw. „służby nadterminowej”, to znaczy ostatni (trzeci) rok służby odbywałbym już w redakcji i miał za to płaconą pensję – jak żołnierz zawodowy.

Jak wiadomo z przebiegu mojej biografii – **nie skorzystałem z tej „oszałamiającej” propozycji i w ostatnich dniach kwietnia 1968 roku powróciłem do Łodzi, gdzie po kolejnych dwu latach podjąłem swoje wymarzone studia pedagogiczne**. Dlaczego tak się stało? Bo powiedziałem panu komandorowi, że zgodzę się przyjść na tych zasadach do redakcji, ale pod warunkiem, że otrzymam pozwolenie na podjęcie od najbliższego roku akademickiego studiów zaocznych w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku. Komandor o mało nie dostał apopleksji – zwymyślał mnie od ostatnich, że mi się w głowie przewróciło, że skierowanie na studia cywilne to wyróżnienie dla zawodowych żołnierzy za dobrą służbę, a nie fanaberia początkującego, nadterminowego st. marynarza.

Po tak zakończonej rozmowie posłałem jeszcze jeden artykuł – o problemie alkoholowym w wojsku, ale się nie ukazał. Więcej już nie posyłałem. **Tak skończyła się moja „marynarska przygoda” z dziennikarstwem, tak „koło nosa” przeszła mi pierwsza „życiowa szansa” na zostanie dziennikarzem.**

[...]

Źródło: <http://obserwatoriumedukacji.pl/felieton-nr-162-dzis-obchodze-50-lecie-mojego-debiutu-w-rolu-dziennikarza-publicysty/>